

Lista jest długa i ciągle rośnie. Są na niej Ci wszyscy, którzy pracowali i pracują przy przygotowaniu imprez klubowych; którzy czasem dokładają z własnej kieszeni; którzy zaniedbują obowiązki rodzinne, by sprostać klubowym; którzy pracują dla klubu i żeglarstwa z potrzeby serca, a nie dla zaspokojenia swoich ambicji; którzy działają dla wspólnego dobra, a nie prywatnych interesów; którzy pracują dla klubu z miłości do żeglarstwa.

Należą się im niskie ukłony, podziw, uznanie i uprzejme podziękowania za wspaniałą postawę. Dzięki takim ludziom na wielu klubowych imprezach tworzy się nastrój, atmosfera jakaś taka nadzwyczajna, by nie powiedzieć niemal mistyczna, robi się uroczyście i podniosłe; jak w wielkiej żeglarskiej rodzinie. I to jest nasz wielki wspólny sukces. Tego nie da się kupić, a nawet dostrzec, jeśli nie jest się zaangażowanym w działalność klubu.

## CZŁONKOWIE HONOROWI



Ryszard Raczyński

Po latach doświadczeń zaczęliśmy doceniać ludzi, którzy wspierają nasz klub nadając im honorowe członkostwo PKŻ.

**Lista Honorowych Członków PKŻ (w porządku alfabetycznym):** Henryk Jaskuła, Jerzy Kleniewski, Jerzy Knabe, Witold Macko, Jerzy Porębski, Ryszard Raczyński, Andrzej Sochaj, Jerzy Wąsowicz, Zygmunt Wiśniowski.

**Ryszard Raczyński** był szczególnie aktywny w pierwszych latach istnienia klubu. Wielokrotnie zgłaszał na zebraniach śmiało propozycje mające spowodować szybki rozwój klubu. Zawsze uważał, że klub musi posiadać własne jednostki żaglowe. Znalazł pierwsze jachty klubowe i pomógł w ich zakupie.

Kilka lat później przekonał wszystkich do zakupu lekko uszkodzonego jachtu i służył pomocą przy jego naprawach. Jacht ten (s/y Baba Jaga) służy nam do dziś.

Otrzymał honorowe członkostwo za pomoc w zakupie kolejnych jachtów klubowych i nieustającą troskę o rozwój klubu. Zawsze był gotów pomóc klubowi, a i teraz, mimo, że mieszka na Florydzie, jest skłonny pomagać, nie zapomina o swoim klubie, który, gdy powstawał, był dla niego jak jego własne dziecko.



Witold Macko

Daliśmy honorowe członkostwo **Witoldowi Macko**, który oddał klubowi swój jacht wysztrandowany na plaży. Zabraliśmy sprzęt do nurkowania, ale po dotarciu na miejsce okazało się, że potrzebne są łopaty, a nie płetwy i maski... Błyskawicznie zorganizowana akcja ratowania jachtu zakończyła się pełnym sukcesem, choć nie obyło się bez dramatycznych momentów. Jacht, który wykopaliśmy z plaży i ściągnęliśmy na głęboką wodę, to późniejsza „Brunhilda”, która kilka lat służyła klubowi. Jacht żegluje do dziś, więc można powiedzieć, że grzebanie w piachu ma (czasem) sens.



Jerzy Wąsowicz

Przyłączyli się: Jerzy Wąsowicz i Andrzej Sochaj. W krótkim czasie byli przyjaciółmi wszystkich, a wszyscy byli ich przyjaciółmi.

**Jerzy Wąsowicz**, właściciel s/y Antica to postać dobrze znana w polonijnych środowiskach żeglarskich całego świata. Ciepły, każdemu przychylny, bardzo dobry żeglarz i gawędziarz. Wielokrotnie gościł członków naszego klubu na pokładzie s/y Antica. Wraz z Andrzejem Sochajem opłynęli świat na jachcie „Antica”.

**Jerzy Wąsowicz**, właściciel s/y Antica to postać dobrze znana w polonijnych środowiskach żeglarskich całego świata. Ciepły, każdemu przychylny, bardzo dobry żeglarz i gawędziarz. Wielokrotnie gościł członków naszego klubu na pokładzie s/y Antica. Wraz z Andrzejem Sochajem opłynęli świat na jachcie „Antica”.

**Andrzej Sochaj** jest z nami do dziś. Tak pisze o sobie:

*Urodziłem się w 1940 roku w Warszawie. Od roku 1948 mieszkałem w Siedlcach, gdzie w roku 1958 ukończyłem Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa. Moje pierwsze spotkanie z morzem miało miejsce w roku 1947, na wyspie Wolin. Później przyszły książki – Karol May, Joseph Conrad – Korzeniowski – i pierwsze*



rejsy... po Bugu, na kajaku z żaglem zrobionym z prześcieradła. Na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej uzyskałem dyplom mgr. inż. Tam też podjąłem pracę, w Katedrze Mostów, którą kontynuowałem aż do roku 1991 kiedy to, wraz z Jurkiem Wąsowiczem, ruszyliśmy „Anticą” – pierwszą damą oceanów – w rejs dookoła świata, który trwał sześć lat.

Lata studiów to próba pogodzenia sprzecznych interesów: nauki, żeglarstwa, narciarstwa i w końcu obowiązków rodzinnych. Długo to trwało lecz, jak sądzę, zakończyło się sukcesem.

Pierwszy rejs morski odbyłem w roku 1963 na jachcie „Szkwał” (bez silnika) do Helsinek, Sztokholmu i Visby. W następnym roku popłynąłem „Swarożycem” do Szwecji, Danii i NRD.

Byłem członkiem Akademickiego Klubu Morskiego. Aby zakwalifikować się na kolejny rejs latem, nieraz trzeba było zimą ciężko popracować przy remontach jachtów. Moje ważniejsze rejsy to: w roku 1980 „Almaresem” do Dover, w 1983 „Samborem” na Orkneje, w 1986 udział w Operacji Żagiel na jachcie „Freya”, w 1988 na pokładzie „Gedanii” z Sydney do Hawany i ten najważniejszy – „Antiką” dookoła świata w latach 1991 -1997. Od 1999 żegluję na swym jachcie „Delight” po Karaibach, Bahamach i wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Przepłynąłem około 134 tysiące mil morskich. Otrzymałem kilka wyróżnień, z których najbardziej sobie cenię III Nagrodę „Rejs Roku 1997”, nagrodę „Conrada” w 1998 i międzynarodową nagrodę „Conrady” w 2007 roku, oraz honorowe członkostwo Joseph Conrad Yacht Club w Chicago i Polskiego Klubu Żeglarskiego w Nowym Jorku.



Jerzy Kleniewski

Swą przychylności klubowi wielokrotnie okazywał konsul morski RP Jerzy Kleniewski. Pomagał jak tylko mógł, często uczestniczył w imprezach organizowanych przez nasz klub.

Przez wiele lat korzystaliśmy z gościnnych progów lokalu **Zygmunta Wiśniowskiego**, który tak wspomina swoją przygodę z klubem:

#### **Navigare necesse est.**

Moja przygoda z żeglarstwem zaczęła się kiedy wracałem już w tzw. trzecią młodość i po moim długim pobycie w Nowym Jorku.

Od zarania życia pasjonowałem się sportem samochodowym i przez wiele lat uczestniczyłem w wielu zawodach na lewym lub prawym fotelu rajdowego samochodu. Po przybyciu do USA zająłem się popularyzowaniem rajdów samochodowych wśród nowojorskiej Polonii i przyczyniłem się do powstania Polonijnego Klubu Automobilowego. Wszystkie wolne chwile i pieniądze poświęcałem na organizowanie polonijnych rajdów samochodowych, nie dostrzegając innych, równie atrakcyjnych form spędzania wolnego czasu.

Żeglowanie, w owym czasie, nie wchodziło w zakres moich zainteresowań, aż do momentu kiedy jedna z uroczych pracownic w moim biurze podróży, Rysia Gaczewska, „zaraziła” mnie bakcylem żeglarstwa. To Jej właśnie zawdzięczam moje pierwsze zetknięcie z żeglarstwem, które znałem raczej tylko „z widzenia”. Postanowiłem „wkupić” się w zacne grono żeglarzy zrzeszonych w młodym podówczas Polskim Klubie Żeglarskim, nie posiadającym jeszcze własnej „lądowej rezydencji”. Zaproponowałem moją agencję „Servpol”, na Borough Park w Nowym Jorku, jako miejsce spotkań i siedzibę Klubu. Przyjęcie przez ówczesny Zarząd Klubu mojej oferty było dla mnie zaszczytem i dało mi możliwość poznania interesujących ludzi, a przede wszystkim wspaniałych żeglarzy.

Mam nadzieję, że nasza klubowa brać, podobnie jak ja, z sentymentem wspomina ten „servpolowy” okres długich nocnych spotkań – dyskusji i przekomarzań (przy piwku), kiedy krzepła jedna z największych organizacji polonijnych, jaką jest obecnie Polski Klub Żeglarski w Nowym Jorku. Wracając do początku: jako morski dyletant, ażeby nie pozostać „neptykiem” w tej materii, nabyłem drogą kupna, w celach szkoleniowych, starą motorową łajbę o groźnej nazwie „Top Gun” i kiedy po kilku kolizjach uznałem, że wystarczająco opanowałem



Andrzej Sochaj



Zygmunt Wiśniowski



sztukę odchodzenia od kei oraz cumowania, obwoziłem - w roli kapitana - moich przyjaciół po Zatoce Nowojorskiej (biedni, nie wiedzieli jak ryzykują!). Moja „krypa” wielokrotnie służyła jeszcze w naszym Klubie jako łódka Komisji Regatowej.

Od początku starałem się, w miarę moich skromnych możliwości, pomagać Klubowi, ale nie sądzę, że zasłużyłem na przyznany mi tytuł honorowego członka. To raczej Klub zajmuje honorowe miejsce w moim życiu. Dzięki niemu miałem szansę uczestniczenia w licznych tutejszych imprezach żeglarskich oraz pływania na słynnych polskich żaglowcach takich, jak „Pogoria”, „Fryderyk Chopin”, „Kapitan Głowacki”, jak również możliwość udziału w polonijnych zlotach żeglarskich na Mazurach.

Obcowanie z Klubem to nie tylko żeglowanie, to również uczestnictwo w imprezach „lądowych” dostarczających wielu niezapomnianych przeżyć. Na dwadzieścia lat istnienia Klubu przypada kilkanaście lat mojego życia silnie z nim związanego. Odczuwam ogromną satysfakcję, iż mogłem, chociaż w małym stopniu, przyczynić się do pełnej sukcesów, bliskiej mojemu sercu organizacji, jaką jest Polski Klub Żeglarski w Nowym Jorku.

Przyznaliśmy członkostwo kapitanowi **Henrykowi Jaskuła**, który od końca ubiegłego wieku jest przyjacielem naszego klubu. Tak pisze o spotkaniu z PKŻ:

### **Moje izofrendy.**

Każdy wie co to są izotermi, izobaty, izobary. To linie łączące na mapie punkty o tej samej temperaturze, głębokości, ciśnieniu. Długie życie każe mi sformułować pojęcie izofrend, linii łączących na mapie świata punkty o



Henryk Jaskuła

tym samym stopniu przyjaźni (frendy – od angielskiego friend)

Nie jest to wesołe odkrycie. Były prezydent Finlandii Urho Kekkonen mawiał „Nie szukajmy przyjaciół daleko, a wrogów blisko”. Trudno mi zrozumieć Finów, którzy przez wieki bici byli z jednej strony przez Szwedów, z drugiej przez Moskali. My w Polsce też byliśmy bici od XVI wieku przez sąsiadów ze wschodu i z zachodu, nauczyliśmy się szukać przyjaciół daleko, najchętniej w USA, i choć historia nieco sfolgowała, jeszcze nie za wszystkimi granicami widzimy przyjaciół.

Pojęcie izofrend nie powstało na losie narodów, tylko pojedynczego człowieka. Każdy człowiek ma swoją mapę izofrend. Patrząc na swoją i dochodzę do wniosku, że moje losy są podobne do losów Polski, widzę bowiem że tu, gdzie mieszkam, moje izofrendy są ujemne.

Jakżeż to, zapytacie? A ten słynny jacht „Dar Przemysła”, a to rozślawienie przeze mnie Przemysła w Polsce rejsem solo non-stop dookoła świata?

Tak, tak, nie wszyscy w tym kraju wiedzieli, gdzie leży Przemysł, byli tacy, którzy myśleli, że na Ukrainie.

Toteż wszystkim wydaje się, że tutaj jest szczyt moich izofrend. „Dar Przemysła” jak i rejs solo non-stop został sfinansowany z budżetu Urzędu Wojewódzkiego w Przemyslu, po rejsie dookoła świata jacht został przekazany nieodpłatnie Przemyskiemu Okręgowemu Związkowi Żeglarskiemu, którego byłem współzałożycielem w 1975 roku i pierwszym prezesem. Po przegranej w Przemyslu bitwie o jacht odszedłem definitywnie z OZZ.

„Dar Przemysła” został rozbity na Kubie w wyniku polityki eksploatacji jachtu przez jego aktualnych dysponentów w OZZ, a dwa lata po tej tragedii ja stanąłem przed sądem z pozwu PrOZZ oskarżony o przywłaszczenie sobie mienia jachtowego. Rozprawa ciągnęła się dwa lata, Sąd mnie uniewinnił. W swoim życiu otrzymałem tylko jeden anonim, o wyjątkowej obrzydliwości. Pochodzi od przemyskich żeglarzy.

Nic dziwnego, że na swojej mapie, na której kreślę swoje izofrendy, wychodzi mi, że w Przemyslu mają znak ujemny. Przed Jarosławiem, 30 km stąd, są już pozytywne, również w Rzeszowie. W Warszawie przez szereg lat następowała anomalia, tam gdzie ulica Chocimska i PZZ znów były mocno ujemne (za kadencji poprzedniego prezesa S.T.), a swoje apogeum osiągały w USA.

Najpierw w Chicago, bo tam po raz pierwszy stanąłem w 1989 roku w Nowym Świecie, a było to na XX-lecie Joseph Conrad Yacht Klubu. Przez dwa następne pięciolecia poznawałem w Chicago Polskę w miniaturze.

Była to identyczna Polska, podzielona jak w kraju, w którym zapomniano już o reżimie z Moskwy rodem, a wszczęto wojnę między sobą, między tym co było Solidarnością. Ubolewałem, godziłem zwaśnione strony, w listach podpisywałem się „Przyjaciel wszystkich”. We wszystkich miałem przyjaciół, ani jednego wroga, moja izofrenda przechodziła przez maksimum. Jednak nie byłem w pełni szczęśliwy, bo moi przyjaciele podzielili się



na wrogie sobie obozy.

O Nowym Jorku marzyłem, owszem, jak o locie na Księżyc. Trawestowałem powiedzenie „Zobaczyć Neapol i umrzeć” na „Zobaczyć Nowy Jork i umrzeć- choć nie od razu”. I to marzenie spełniło się. Na 30-lecie w Chicago w 1999 roku była delegacja z Nowego Jorku a Andrzej Gruszka, ówczesny komandor, pierwszy, którego poznałem. Pierwszy nowojorski przyjaciel.

- Jedź z nami do Nowego Jorku, jutro wyjeżdżamy! – zaproponował. Zaniemówilem. Wiem, że w Ameryce czas biegnie szybciej, ponoć i światło ma większą szybkość niż w Europie. Do Nowego Jorku poleciałem na 10-lecie Klubu, w roku 2000. Byłem też w 2001r. na Polonia Rendezvous.

Poznałem Was wszystkich, Moi Drodzy, jeszcze jedną Polonię, wszyscy są mi przyjaciółmi, moja izofrenda biegnąc na maksimum poszerzyła się. Ech, nie zliczę ile drinków i z kim... wszystko poszło na zdrowie. I Jurka Kołka, i Krzyśka Sieranta, a Krzysiek Grubecki sprawił mi frajdę poświęcając mi cały jeden dzień. Nie tylko obwiał mnie po całym dolnym i środkowym Manhattanie, ale i przewiózł mnie awionetką, z której z bliska patrzyłem w okna obu wież WTC. Było to w 2000 roku.

11 września 2001, mieszkając u tegoż Krzyśka w Queens, oglądałem ze ściśniętym sercem atak na WTC. Widziałem wszystko w TV nim drugi samolot uderzył w północną wieżę. Nie chciałem wierzyć, że to jest rzeczywistość, było to coś jak atak wrogich kosmitów, bo ludzie tej Ziemi nie byliby w stanie dopuścić się takiego czynu jak taranowanie budowli samolotem z ludzkim ładunkiem i benzyną. W tej bolesnej chwili poczułem się nowojorczykiem w cierpieniu razem ze wszystkimi.

U schyłku życia odczuwam komfort, że gdzieś na tej planecie, w Nowym Jorku, w Chicago, linia mojej izofrendy biegnie tak wysoko ponad poziomem zerowym. Odpowiadam na to najgłębszą, najszczerzą przyjaźnią, a moim marzeniem jest, aby ci, którzy darzą mnie przyjaźnią, nie swarzyli się między sobą. Wszystkie spory załatwiającie przy flaszcze wina. JA STAWIAM!

Od lat wspomaga nas **Jerzy Porębski**, legenda polskiego ruchu szantowego. Autor kilkudziesięciu żeglarskich przebojów o tematyce morskiej, publicysta, rybak, żeglarz i popularyzator ruchu szantowego. Od wielu lat wspiera naszą klubową działalność koncertując i pomagając w prowadzeniu imprez lądowych organizowanych przez nasz klub.

Wielokrotnie prowadził nowojorskie festiwale szant organizowane przez nasz klub.

Zawsze uśmiechnięty, przychylny, cierpliwy, bezkonfliktowy, chętny do współpracy.



Jerzy Porębski



Jerzy Knabe

Ostatnio honorowe członkostwo naszego klubu przyjął **Jerzy Knabe**, szara eminencja polskiego i polonijnego żeglarstwa. Żeglarz, pletwonurek, podróżnik, dziennikarz.

Organizował i brał udział w wielu pionierskich wyprawach żeglarskich (m.in.: 1959/60r. - s/y Dar Opola, Morze Czerwone; 1965/66 - s/y Śmiały dookoła Ameryki Południowej), a po wyjeździe do Londynu współzałożyciel, sekretarz i komandor polskiego klubu żeglarskiego w Londynie (PYCL, później Yacht Klubu Polski Londyn).

Współzałożyciel Bractwa Wybrzeża i jego pierwszy Kapitan.

Od kilkunastu lat wspomaga nas swym doświadczeniem, radą, oraz korespondencjami do „Żeglarza”.